

# Agata Tuszyńska: W cieniu

Nie żyje żadne z nich. Bruno Schulz zabity na drohobyckiej ulicy nie ma grobu. Jego narzeczona od niemal trzydziestu lat leży na gdańskim Srebrzysku. Nieustrudzony kronikarz i biograf obojga przeniósł się na warszawskie Powązki...

Najmłodszy z nich był Schulz. Najstarsza ona. Nad całą trójką zamknęło się niebo. Znieruchomiał czas. Przestały obowiązywać pieczęcie doczesnych tajemnic. To, czego nam nie wyznali, już na zawsze zabrali ze sobą. Skazani jesteśmy na intuicję i domysły...

Każde świadectwo przeszłości jest przypadkowe i niepełne. Tak jest również z listami Józefiny Szelińskiej do Jerzego Ficowskiego. Przetrwały tylko z jednej strony. Awers bez rewersu – jeśli nie liczyć jedynego brulionu jego listu do niej, ostatniego listu, na który odpowiedziała. Jedenaście miesięcy później odebrała sobie życie.

Bez Ficowskiego i jego gestu czytelniczej wierności niewiele wiedzielibyśmy o autorze *Sklepów cynamonowych*. Zachwycony jego prozą jeszcze przed wojną starał się to wyrazić. Wobec wiadomości o śmierci Schulza postanowił go wskrzesić, wydrzeć zapomnieniu. Rozpoczął swoją wielką życiową kwerendę na tyle wcześniej, by zdążyć zebrać relacje żyjących. I pamiętających. Świadków losu drohobyckiego artysty, tych ważnych i jedyne, tych przygodnych i mijanych nieuważnie, znajomych, przyjaciół, uczniów. Przypadkowych depozytariuszy jego słów i obrazów, rękopisów i rysunków... I jego wiernych wyznawców.

Ogłaszał apele w prasie, szukał, namawiał, rozmawiał... Nie raz, nie dwa, wiele razy. I na przestrzeni wielu lat. Przypominał, zadawał pytania, drażył. Z pasją mozolnego archeologa odzyskał z pamięci wielu elementy, fragmenty, okruchy, kawałki... Stworzył w ten sposób największe puzzle w historii polskiej literatury. Ułomny wobec oryginału. I w swojej niedoskonałości monumentalny.

„Proszę o stałe utrzymywanie mojej osoby w głębokim cieniu” – pisze jesienią 1973 roku Józefina Szelińska i jest to prośba powtarzana po wielekroć w tej korespondencji.

Prośbę tę – czy polecenie może – odmienia przez przypadki i lata w podtrzymywanej na papierze przez niemal pół wieku rozmowie z Jerzym Ficowskim. Ze świadkiem i akuszerem jej pamięci, a także świadkiem jej walki ze sobą, z dawną miłością i własnym być albo nie być na scenie przeszłości. I coraz jaśniej oświetlonej arenie życia Wielkiego Brunona.

Zachowało się siedemdziesiąt dziewięć listów i kart pocztowych Józefiny Szelińskiej do Jerzego Ficowskiego z lat 1948–1990. Pisane ręcznie, pismem zawilgłym i nieczytelnym, lub na maszynie. Kartek pocztowych jest kilkanaście, w tym więcej bożonarodzeniowych niż wielkanocnych. Kilka widokówek znad morza (woda,

wydmy) i jedna z Tlenia w Borach Tucholskich. Większość to listy formatu A4, pisane po obu stronach, co jeszcze bardziej utrudnia lekturę. Czasem łaskawie używała maszyny do pisania, porządnie i oszczędnie, by nie tracić miejsca i wątku, jak przystało na nauczycielkę polskiego. Niewiele błędów, mało skreśleń<sup>1</sup>.

Jego listy do niej – wedle oficjalnej i jedynej wersji zdarzeń – zaginęły. A więc znamy jedynie część ich listownej relacji – zachowane przez Ficowskiego JEJ listy. Jeśli nazwiemy je awersem, to rewers jest nieznan. Nieobecny w tym układzie planet.

Poznałabym ją po charakterze pisma. Takie mam wrażenie po latach obcowania z jej rękopisami. Jej pismo było jak ona. Wysokie i majestatyczne, odległe i splątane. Niedostępne. Nie bez powodu współczuła adresatowi przymusu odcyfrowywania własnych hieroglifów.

Pierwszy list napisała 6 czerwca 1948 roku w odpowiedzi na ogłoszenie Jerzego Ficowskiego w „Przekroju” o poszukiwaniach związanych z postacią Brunona Schulza. Znalazła właśnie to, choć publikował podobne anonse w „Kuźnicy”, „Odrodzeniu”, „Nowinach Literackich”... Mieszkała wówczas w Gdańsku-Wrzeszczu (ul. Sienkiewicza 8).

Odpowiadała na ogłoszenie nieznanego człowieka, który szukał śladów zmarłego artysty. To nie w jej stylu. A jednak. W odruchu żalu to zrobiła, obudzonej miłości czy rozpaczy? Wszystkie te słowa wydają się obce w jej słowniku.

Pisała z radością i zachęcała do spotkania. „Będę mogła Panu służyć – pisała – uratowaną z zawieruchy wojennej częścią utworów Schulza. Jestem w posiadaniu teki grafik i 1go sztychu bez kopii, kilku rysunków, jego autoportretów, kopii jego portretu namalowanego przez St. I. Witkiewicza oraz dwóch moich portretów pastelowych wykonanych przez B. Schulza. Dwa moje obrazy oraz bogata, bo około 200 listów licząca korespondencja B. Schulza ze mną, zaginęła w czasie wojny”.

Żyła otoczona jego rysunkami, tuż obok dwóch portretów, które jej namalował: w szarej garsonce (grzeczna, układna nauczycielka, nieco wyniosła,

---

1 Listy mają różną długość i różny rytm. Jest to wyraźne, choć obserwujemy tylko jedną stronę dialogu. Obecność adresata można czytać między wierszami. A jego komentarzy i strategii domyślać się z wątków, które podejmuje ona. To echo, podwójne echo jej obecności w tym węźle. Najwięcej listów – aż dziesięć – skierowała do niego w 1967 roku. Z tego też roku z 5 września pochodzi list najdłuższy – osiem stron – rękopiśmienny, na cienkich kartkach, zapętlony ręcznym ścięciem, list-zwierzenie. Bezpośrednio po lekturze pierwszej książkowej publikacji Ficowskiego o Schulzu, czyli *Regionów wielkiej herezji*. Ficowski będzie tę opowieść uzupełniać w kolejnych wydaniach, wcielając kolejne znaleziska i obficie korzystając z obudzonych wspomnień Józefiny. W 1964 roku – pięć listów. Później po dwa lub trzy. Znowu pięć w 1973. Jeszcze sześć w 1976. Potem coraz mniej. W ostatnim roku korespondencji – 1990 – wysłała do niego tylko jeden krótki list, 28 sierpnia. Dokładnie miesiąc po ich spotkaniu. Zachował się zapis w kalendarzu Jerzego Ficowskiego na ten temat. A także brulion listu, który wysłał do niej po wizycie w Gdańsku. To było ich ostatnie słowo.

zasznurowana) i w żółtym kapeluszu (wręcz ekscentryczna). Którą z nich bardziej się stała po latach? Jaką siebie przypominała? A jaką chciała pamiętać? Ficowski jeszcze nic o tym nie wiedział.

Skarb, jaki oferowała, musiał mu się wydać imponujący. A jeszcze wzmianka o listach... Młody poeta znał jej nazwisko z dedykacji na *Sanatorium pod Klepsydrą*, ale czy wiedział, kim rzeczywiście była dla autora? Na pewno nie od razu. Nie wątpił, że kimś ważnym, w końcu dedykacja zobowiązuje. Muza? Namawiała do osobistego kontaktu i przyjazdu na Wybrzeże. Obiecywała, że to nie będzie przykre.

Nie musiało takie być, szczególnie dla kogoś o duszy szperacza. I ta obietnica... dwustu listów... Niejasna. Niby nieobecnych, ale istniejących kiedyś... Dziwię się trochę, że nie wyruszył natychmiast.

Nie pojawił się przez kolejne miesiące, co skonstatowała z pewnym zawodem w liście z końca listopada 1948 roku. Drugim wysłanym spod tego samego adresu. Dalej cisza. Na długo.

Po dwóch listach Szelińskiej z 1948 roku następuje szesnastoletnia przerwa. Nie wiadomo, czym spowodowana. Może Ficowski zajęty był własnym życiem, budowaniem rodziny, podróżami z cygańskim taborem, obowiązkami poety i ojca? W 1956 roku opublikował jedyny w owym okresie szkic o autorze *Manekinów* w „Życiu Literackim” – *Przypomnienie Brunona Schulza*. Nie wiadomo, czy i jak nań zareagowała. Może zawieruszyły się ślady ich ówczesnego kontaktu? Nie wiadomo, kiedy się poznali osobiście i gdzie. Może w Gdańsku, w bibliotece, którą kierowała od 1952 roku? Na pewno spotkanie odbyło się na jej warunkach, jak wszystko, co się potem miało zdarzyć. Kiedy się dowiedział, że jest doktorem filozofii po lwowskim Uniwersytecie Jana Kazimierza, nauczycielką z Drohobycza, znawczynią literatury?

Listowna rozmowa podjęta po latach nie podsuwa żadnych śladów. Nie ma w niej goryczy ani wyrzutów, jest więc prawdopodobne, że coś ją w pustym od korespondencji czasie żywiło.

W pierwszym liście po przerwie, w kwietniu 1964, informuje, że zmieniła adres. Kościuszki 107 m. 9 we Wrzeszczu pozostanie do końca jej miejscem na świecie. Ficowski w międzyczasie zmienił kilkakrotnie warszawskie adresy (Białobrzaska, Bacha, plac Inwalidów / Ochota, Stegny, Żoliborz), przez chwilę mieszkał też pod Warszawą, w Michalinie koło Otwocka.

„Z wyrazami poważania” lub „prawdziwego poważania” kończy Józefina Szelińska kolejną kartkę. Od początku powtarza w różnych wariantach – jak ostrzeżenie – „moja pamięć wykazuje niesłychaną zawodność”. Lub: „moja pamięć jest bez wczoraj”. Albo wreszcie: „to istne kuchenne sito”. A jednak adresuje następną kopertę.

Protestuje, jakoby mogła znaleźć listy Schulza gdzieś w swoich szufladach. Powtarza stanowczo, raz jeszcze, że zostawiła całą paczkę na strychu pod krokwią, opuszczając podczas wojny rodzinny dom w Janowie, zniecierpliwiona, że znowu

jest o to pytana. Dlaczego zostawiła listy, wiedząc o ich literackiej wartości? Czy mogłyby ją zdradzić? Nie wiem, czy Ficowski o to zapytał.

Potwierdziła, iż Bruno był mistrzem sztuki epistolarnej. Skwapliwie zgodziła się na przejrzenie odnalezionych przez Ficowskiego listów, w których jest wzmianka o niej. Dziękowała mu za taką możliwość. Za wrażliwość i takt. Dziękowała za trud przepisania odpowiednich fragmentów. Godziła się na ich druk, ale pod warunkiem: „w ich objaśnieniach nazwisko moje zostanie pominięte”.

Ficowski musiał już wtedy wiedzieć, że Juna, o której piszą korespondenci Schulza – narzeczona, katoliczka, którą miał poślubić – to jego gdańska korespondentka. Musiał zatem rozumieć, jak trudna będzie to dla niej lektura. Czy się zawahał? To gest szlachetny, ale i brutalny jednocześnie. Łaskawy wobec jej uczuć, a wobec prawdy zapisu?

Czy to wtedy właśnie wymyślili tajemniczą „J.[...]”?

Mam wrażenie, że Szelińska nie zdawała sobie sprawy, na co się decyduje. Później wchodzenie w dawno zabliznione obszary przeszłości zaczęło ją wciągać. Pochłaniać. Stało się zajęciem dotkliwym, ale w pewien sposób koniecznym.

Nie wiedziała, że jej Bruno miał przyjaciółkę, powiernicę, Romanę Halpernową, z którą konsultował kolejne etapy ich związku. Jej zwierzał się z tego, jak ona – Juna – go kocha („tak żarliwą miłością nie darzyła mnie dotąd żadna kobieta... tak wielkie uczucie zniewala mnie i zobowiązuje...”). Radził się, czy decyzja o małżeństwie jest słuszna, czy nie osłabi ono jego twórczej potencji, nie zaszkodzi talentowi, nie uczyni zeń mieszczańskiego filistra. Bywało, że „degradował ją do zwyczajnej Józi”...

Niedyskrecje Schulza musiały ją boleśnie dotykać. Nie tylko w listach do Halpernowej, lecz także zaprzyjaźnionych Brezy i Waśniewskiego. Jednemu skarżył się na hipochondrię Juny, drugiemu donosił w końcu o uldze po zerwaniu z narzeczoną.

Nie dawała tego po sobie poznać. Milczała, choć musiała potraktować to jako poważne naruszenie zaufania ze strony wybranego mężczyzny. O jej uczuciach dyskutował z obcymi? I o religii? O ich bliskości? To zdrada tajemnicy. Potraktowała ją podobnie jak późniejszą wiadomość z innego źródła o swoim rzekomym samobójstwie. Zlekceważyła i zamazała, zalepiła pieczęcią milczenia.

Dziesięć dni później nalegała raz jeszcze: „Co do listów... bardzo proszę o zasadę generalną – o zupełne wykropkowanie i pominięcie mego imienia i nazwiska poza inicjałami i o nierozszyfrowywanie go w żadnym komentarzu. Ponadto proszę o ujęcie w nawias [...] pewnych partii, które pozwoliłam sobie zaznaczyć w tekście listów ołówkiem”.

Jest stanowcza i zdania nie zmieni. Miała pamięć. Miała historię. Była świadkiem. Bezcennym. Jedynym. Nikt tak jak ona nie był z Schulzem i przy Schulzu. Żadna z ocalałych kobiet. Żadna z tych, które Ficowski mógł poznać. Do których pamięci mógłby sięgnąć. Podjęła grę. Co więcej, sama ją zainicjowała, zgłaszając się na wezwanie. Czy grała z pozycji siły? To ona miała rysunki, portrety i pamięć.

Ona dyktowała warunki, bo miała coś, na czym jemu zależało. I czego nie był w stanie uzyskać od kogoś innego. Była jedyną kobietą mogącą „świadczyć” w takim charakterze.

Ficowski nie wahał się, był pewny, że trzeba przystać na jej warunki. Oswajał ją. I nie chciał spłoszyć. Podsuwał jej kolejne listy i nie drukował żadnych fragmentów bez jej zgody. Ani wtedy, ani później. Efektem było aż trzydzieści ominięć w edycji listów Schulza wydanej za jej życia.

Po spotkaniu w lutym 1965 robiła sobie wymówki, że nie sprostała zadaniu. Odmalowała portret Schulza być może inny, niż spodziewał się jego biograf – artysta pochłonął w nim człowieka. Czy należy to potraktować jako próbę samousprawiedliwienia po latach? Racjonalizowania powodów rozstania? Wyraziła też opory – po raz pierwszy i nie ostatni – wobec tendencji do „ściślej dokumentacji”... Zmartwiły ją bezowocne poszukiwania Ficowskiego na Ukrainie, tak śladów Brunona, jak i jej własnych.

Nie chciała istnieć jako bohaterka nieszczęśliwej miłości Schulza, ale nie próbowała skazać się na nieistnienie. Prosiła o wykreślenie swego nazwiska, lecz pozostawiała „J.”. Chciała zatem czy nie chciała? Chciała, ale na własnych zasadach. Bezimienna miała dość wyrazistą osobowość. I jednak obecność na planie życia autora zaginionego *Mesjasza*.

Po lekturze pierwszej książki o Schulzu – *Regionów wielkiej herezji* (1967) – Ficowski wyraźnie zyskuje w jej oczach. Komplementuje go za wrażliwość, przenikliwość i dotknięcie istoty Schulzowskiej tajemnicy. Tak w artystycznym, jak w człowieczym sensie. Nazywa jego dzieło pomnikiem, jaki tylko poeta pocie może wystawić. Wdzięczna mu jest za tę „doskonałą i pięknie napisaną książkę”. W końcu oddaje hołd jej mężczyźnie. To nic, że porzuconemu. I niedorastającemu do jej wyobrażeń i wymagań. Życiowo niewiele miał do zaproponowania, ale zawsze doceniała jego artystyczną wielkość.

Jest teraz bardziej skora do zwierzeń. A przynajmniej tak się wydaje. Dopowiada, a może teraz dopiero naprawdę opowiada historię ich związku. Oczywiście taką, jaką chce utrwalić. I tylko taką. Zaczyna od pierwszego spotkania, prowadzi przez kolejne seanse portretów, „któraż pani Bovary odmówiłaby artyście?”, rosnącą wzajemną fascynację... Czas trwania narzeczeństwa, nadzieje, zawody, odurzenie, zamęt... Bruno kobold, ich wspólne stany taediowidalne... Píše o zaprzedeniu Brunona własnej twórczości, o jego związkach z Rilkiem i Kubinem, o odmienności nigdy przez nią niepoznaney. O tym wszystkim, co z czasem stanie się narracyjną kanwą ich czteroletniej relacji. Jej swoistą legendą.

Koryguje chronologię, dodaje wspólne lektury, filozoficzne dysputy, zakopiańskie wakacje i towarzyskie konkiety. Zakopane, Witkiewicz, Kasprowiczowa, Szuman... Prowadzi przez meandry spacerów, opowieści, spotkań... Przez olśnienie słowem i aurą, jakiej nikt inny nie stworzył. Stara się przedstawić dramat tego związku, niemożność bycia razem dwóch istot tak różnych i mających tak inne oczekiwania w stosunku do świata i ludzi.

Odsłania kulisy powstania pierwszego przekładu *Procesu* Kafki, jej autorstwa, z inicjatywy Brunona i z jego nazwiskiem na okładce. Detale, rachunki, podział chwały. Trochę uściśleń, odwróconych drobiazgów, literówek pamięci. Tu po raz pierwszy mówi o „ciężkiej chorobie – świetnej ucieczce”... która pomogła jej rozwiązać ów niemożliwy związek.

Czy wówczas naprawdę zaufała Ficowskiemu? Wygląda to tak, jakby dopiero wtedy przekonała się o jego uczciwych zamiarach. Ale czy kiedykolwiek komukolwiek zaufała? Nie od niej dowiedział się o jej pochodzeniu, o ojcu adwokacie Schrenzlu-Szelińskim, o wystąpieniu Brunona z gminy żydowskiej, by ją poślubić, o szukaniu rozwiązania, by wziąć ślub cywilny, badaniu możliwości w Katowicach. Nigdy nie wyznała, że po rozstaniu z Brunonem chciała pozbać się życia. Takich informacji nie udzielała nikomu. Stosowała zasadę ograniczonego zaufania do ludzi, nawet tak użytecznych jak biograf Brunona.

W pierwszym wydaniu *Regionów wielkiej herezji* Ficowski opublikował fotografię dziecka, jak sądził – małego Brunona. Okazało się, że to zdjęcie Józefiny. Sama mu o tym napisała, porażona znaczącą pomyłką. Jakby w symbolicznym geście połączył tych dwoje ponownie: jego – osieroconego artystę – i ją – niedoszłą wdowę po nim. To ta więź jest istotą korespondencji Szelińskiej z Ficowskim.

Przez kolejnych dziesięć lat pisali do siebie często. Ich więź stała się bardziej dynamiczna, ale i sięgała innych sfer. Szelińska sekundowała Ficowskiemu w recepcji *Regionów*, chwaliła go, zauważała „podskórny żar w zamaskowanym obiektywizmie kronikarza faktów i cyfr”. Złościła się na nieudolną krytykę książki w prasie czy amatorskie próby naśladownictwa Schulza w prozie lub teatrze. Jednocześnie odkrywała jego, Ficowskiego, „trudną i piękną” poezję. Czytała opowiadania. Posyłał jej regularnie książki, własne i traktujące o autorze *Sklepów cynamonowych*... Ganiła jego skromność – to, że chce pozostać tylko schulzoznawcą. Bywała momentami szczodra w literackich komplementach i niesieniu pisarskiej otuchy.

Po przesileniu Marca '68, konieczności przeżycia raz jeszcze echa wojennego lęku częściej bywała przygnębiona. Sama złożyła rezygnację z funkcji kierownika biblioteki, jeszcze w kwietniu, zanim wszystko rozpętało się na dobre. Przez kolejne lata – aż do emerytury – pracowała w informatorium.

„Czekam na słońce, na cud, na zastrzyk woli” – pisała. Skarżyła się na „pustkę i próżnię”, w których żyje. Na ciężkie dni, szarość wrażeń, chęć ucieczki. „Mój dzień dzisiejszy jest bez jutra” – pisała, mając sześćdziesiąt sześć lat. Na ile to echa przeżyć dawnych, wzmocnione marcową pogroźką? Na ile egzystencjalne doświadczenie samotności istoty dotkliwie nią doświadczonej? Kiedy skończyła siedemdziesiąt lat, swoje samopoczucie określała kalką – „stosownie do wieku”, a nastrój – „stosownie do rzeczywistości”. Nieodporna była na polityczną truciznę. I na społeczne niepokoje.

Łakomie i wytrwale towarzyszyła schulzowskim odkryciom Ficowskiego. Czasem pobudzona cudzymi wspomnieniami od nowa rozgrzewała własną pamięć. Innym razem wspominanie – te wędrówki po cmentarzu – przenikały ją



„beprzedmiotowym smutkiem”. Dodawała do nich „nieszczęsne przygnębienie”. Więc może Schulz miał rację, pisząc do przyjaciela o jej dotkliwych zmianach nastroju i emocjonalnym nieopanowaniu? Wyznawała, że trudno jej czytać listy Brunona bez przykrego uczucia „mieszaniny winy, żalu, smutku i niechęci”... Słabła wówczas i odmawiała współpracy. Milkła. Ratowała się lekturą i wędrownkami po lesie. Uciekała w Bory Tucholskie, kiedy tylko mogła. Przypominały jej okolice rodzinnego Janowa, gdzie zbierała grzyby w bukowych i sosnowych lasach.

Niekiedy zwracał się do niej o radę, korzystał z podpowiedzi, powierzał korekty niemieckojęzycznych tekstów. Doceniał nie tylko jej udział w losie Schulza, lecz także wykształcenie, odczytanie i literacki smak (redakcja kalendarium, konsultacja niemieckiego przekładu, korekty tekstów w języku francuskim, namowa do kontaktu z profesorem psychologii Szumanem). Starła się być pomocna, choć nie opuszczało jej zniechęcenie. I rozczarowanie ludźmi. Rozniecilo je ponownie, a może przypieczętowało swoiste nadużycie dawnej znajomej, która wystawiła na sprzedaż rysunki Schulza i jej, Józefiny, historię. Nie mogła jej zapomnieć transakcji z Muzeum Literatury. Ficowskiego powoływała na świadka tej przykrości i nielojalności.

Szelińska była jedyną spośród świadków życia Schulza, z którą Ficowski pozostał w kontakcie przez tyle lat. Najpierw służyła mu pamięcią, była źródłem, z którego czerpał (na tyle, na ile pozwalała). Potem traktował ją jak przyjaciela we wspólnej pasji – dzielił się z nią kolejnymi znaleziskami, wiedząc, że ją to obchodzi i zajmuje. Na pewno tak, jak jego samego, a może bardziej – jak nikogo innego na świecie. Latami dostarczał jej kolejne tomy schulzowskich wydań, albumów, tłumaczeń, na które zawsze żywo reagowała. Dziękowała.

Czy biograf wiedział, jak to jest, kiedy się zwiedza własną przeszłość, potykając się o fragmenty cudzej pamięci? Wracały skrywane lęki, budziły się demony. Nie chciała takich luster. A on – podrzucając wspomnienia – stale je przed nią stawiał. Dostarczał kadry z przeszłości, nigdy nie wiedząc, którą poruszą strunę. Rzadko dawała poznać, jak ją to męczyło.

„Puste miejsca po kimś nigdy nie bywają puste” – pisała w 1971 roku. Rozrastają się we wszystkich kierunkach, nie wystarcza im obszar wyznaczony dla żywych. Ten, którego już nie ma, nie mieści się w ciasnym kręgu ogarniającym go za życia.

Rozmowa z Ficowskim była dla niej zaprzeczeniem rozpaczy. I niemilkącym dialogiem z nieobecnym. Wypełniała samotność, która stała się jej domem.

Byli ciekawą parą dziwacznych spowiedników. Ona wysoka, postawna, władcza. On szczupły i drobny, a jeszcze piszący maczkiem. Ona z naleciałością gotyku – strzeliście. On przypominał Schulza. A u boku swojej drugiej żony, Biety, przypominał Schulza z Szelińską.

Czy się zaprzyjaźnili? Reagowała troską na jego kłopoty w życiu prywatnym, na wieści o depresji i chorobach, rozwodzie i śmierci matki. Rozumiała słabość i niemoc. Sekundowała nowemu związkowi, dopytywała o zdrowie córeczki. Pytała o domek nad Bugiem i włamanie. Dzielili się bólem. On po śmierci matki,

ona – brata. Ale z obietnic pokazania rysunków Schulza często niewiele wychodziło, podobnie z pozwoleniami na zdjęcia. Odwoływała wizyty, i to zawsze wtedy, kiedy przyrzekała podzielić się czymś ważnym. Mając osiemdziesiąt lat, po raz kolejny zdementowała pogłoskę o swojej próbie samobójczej. Jednym zdecydowanym zdaniem. Nadal zaprzeczała. Sobie?

Nie broniła się ani nie zastrzegała. To także był element gry. Wymawiała się zmęczeniem lub kłopotami. Nie wyjaśniała. Jeśli się tłumaczyła, to tylko z korespondencyjnych zaniechań i opóźnień w podziękowaniach za kolejne dary. Nigdy z kostiumów, jakie zakładała, ani z masek. Ani z kapelusza z woalką. Ficowski z czasem zrezygnował z dociekań. Towarzyszył jej w coraz bardziej żmudnej codzienności. I mimo wszystko – stale na coś liczył. Jako nałogowy wielbiciel Schulza marzył o odkryciu kolejnego rysunku, kontemplowaniu innego. Pożądliwie myślał o tym, co kryją szafy gdańskiego mieszkania Józefiny.

Była najważniejszą korespondentką Ficowskiego, może i najbliższą z schulzowskiej konstelacji. Mimo rzeczowości relacji. I chłodu. Mimo dystansu. Do końca. Ich korespondencję określał adresat mianem „bezcenna”. W swoich kolejnych książkach obficie się nią posługiwał. Z czasem cytował coraz większe fragmenty.

Rytm ich kontaktów stopniowo słabł, ożywił się jednak po kolejnych publikacjach. W 1986 roku dziękowała mu za „cenny dar” – *Okolice sklepów cynamonowych*, wzruszona dedykacją: „Józefinie Szelińskiej szkice te poświęca autor”. Czuła, że nawias otwarty dedykacją Brunona z *Sanatorium pod Klepsydrą* w 1937 roku po pół wieku został symbolicznie zamknięty ręką Ficowskiego. Jej rola, jej nieobecna obecność w życiu Schulza została po raz kolejny nagrodzona.

Przeciwna była genealogicznemu szperactwu. Więc i sama go nie uprawiała. Niecierpliwiło ją to. Oburzało. Pisała o tym z naciskiem i kilka razy. Po co to odgrzebywanie przodków, niearyjskich nosów i obrzezaczy? Komu potrzebne docieranie do zamazywanych tożsamości i skrywanych korzeni? Zaśmiecanie tekstu znaleziskami, które przynależą do przypisów, do kuchni literatury, a nie na jej reprezentacyjne schody.

Męczyły ją szczególnie powroty w drohobyckie klimaty, ów krąg „plemienno-rodzinny”, który ją drażnił i z którym nie chciała się utożsamiać.

Czemu to służyło? – denerwowała się. Ujawnianie danych i nazwisk, tropienie. Użyła kilku wykrzykników. Ficowski zachowywał się, jakby nic nie rozumiał. Jej losu w cieniu wojny, jej lęku przed odkryciem, zmieniania kryjówek... Wydarzenia Marca '68 jedynie ów lęk ugruntowały. Czy rzeczywiście sądził, że dociekanie tak zwanej prawdy miało największe znaczenie? A przecież ona wiedziała, że nie ma. Najważniejsze było przeżyć. Ale tego nigdy mu wprost nie powiedziała.

Wielokrotnie wyrażała swoje zdanie o przynależności Schulza do kultury polskiej, a więc i odpowiedniego dlań miejsca w Alei Zasłużonych na Powązkach. Należy do żywych, jak Tuwim czy Słonimski – „gablota muzealna, jaką byłby dla niego cmentarz żydowski jest niewłaściwa”. Walczyła o jego status w świecie artystycznym i w obszarze języka, którym tak wspaniale władał. Nigdy nie opuścił jej lęk.



Znamy kilka jej zdjęć. I niedokończone życiorysy pisane jej ręką. Różne na różne okazje. Zwykle w barwach ochronnych. Na ile się da, na wszelki wypadek zacierające ślady. Oddalające rzeczywiste lub rzekome niebezpieczeństwo.

Była wykształconą polonistką i pedagogiem. W pewnej chwili, pięć lat po wojnie, zrezygnowała z uczenia. Została bibliotekarką, gdyż to dawało jej możliwość przebywania wśród książek. Zamknęła się w świecie słów. Chodząc po bibliotece, między półkami i regałami, była niejako w tej samej rzeczywistości sztuki i lektur, którą przed laty dzieliła z Schulzem.

Ficowski wierzył w cuda. I ja w nie wierzę. Może w jakiejś skrytce, w jakimś schowku, niekoniecznie zgodnie z katalogiem, objawi się nam na nowo Bruno Schulz. We Wrzeszczu, w dawnej Bibliotece Pedagogicznej, która należy obecnie do Uniwersytetu Gdańskiego, znajdują się książki Schulza katalogowane jej ręką. Mam przecucie, że jest tam też coś więcej. Może owe legendarne miłosne listy ze słowami, które paliły papier...

Nie wiemy, co się stało z listami Jerzego Ficowskiego do Józefiny Szelińskiej. Zniszczyła je, schowała? Czy kiedykolwiek się dowiemy? A może podzieliły los innych rekwizytów jej życia? Podobnie nieznany jest los spuścizny, o której Szelińska pisze w kilku odsłonach zaciekawionemu adresatowi. Obrazy, rysunki, księgozbiór narzeczonej nie są dostępne światu. Jej mieszkanie wraz z zawartością przejęła rodzina. Nie ma wglądu w jej „dowody na istnienie”. Wedle spisu, który udało się zrekonstruować z jej listów, była w posiadaniu dość okazałych zbiorów – tak rysunków, jak cliché-verre’ów, pastelów Schulza, ale i portretów Witkacego, a także cennego księgozbioru w oprawach Schulza i z jego dedykacjami. O tym, że istniały, świadczą zaledwie kilka fotografii, które za zgodą właścicielki wykonał Ficowski. Zdokumentował część zbiorów. Są to jedyne świadectwa gwarantujące istnienie tych dzieł sztuki.

W ostatnim liście, który do niego skierowała, 28 sierpnia 1990, pisała o swoim złym położeniu i bezsensownej egzystencji. O tym, że leki przeciwbólowe nie skutkują. O niechęci do wszelkich transakcji materialnych i braku energii na poruszanie kwestii „ideologicznych”. To pierwsze w odniesieniu do propozycji Ficowskiego kupna rysunków Schulza<sup>2</sup>, drugie – jako komentarz do odnalezionego autoportretu z podaniem Brunona o przyjęcie do sowieckiego Związku Zawodowego w 1940 roku.

2 W sierpniu 1990 Ficowski zapisał w kalendarzu taki oto plan pracy:

„Porozumieć się z p. Szelińskim (z Wwy) – tel. w spr. p. J.

Leki od K. – przeciw bólowi kostnym

kolorowe odbitki – dla J.

13 sierpnia – list do Szelińskiej (na brudno)

30 czwartek: list od Szelińskiej (odmowa sprzedaży) i dalej strategia: zgoda/cofnięcie jej. Do Gdańska nie jadę, sprawa upadła”.

„Dziś na wszystko już za późno”... – pisała.

Minęło niemal trzydzieści lat od jej śmierci. Ciągłe nie możemy spojrzeć w twarz jej portretom. Pozostawiła ciekawość, której nie sposób zaspokoić.

Nie chciała być bohaterką banalnego romansu. (A czyż nią nie była...?). Tabletki. Dzwonek po pomoc. Zerwanie. Po kilku miesiącach ukazała się książka z zapisaną zawczasu dla niej dedykacją Schulza w *Sanatorium pod Klepsydrą*. Ironia losu? To wtedy jej nazwisko zostało na zawsze przypisane do jego prozy.

Walczyła o siebie. Broniała własnej prawdy. Nie mogła sobie pozwolić na wyjście z cienia. A może nie chciała?

Żyła w cieniu wojny. I w cieniu mężczyzny, którego przed laty opuściła. Nie potrafiła się z nim rozstać. Żyła w lęku. Cień miał ją chronić. Aż stała się cieniem.

Dopóki mogła, broniła Bezimiennej. Wiedziała, że to „dożywotnie” przyrzeczenie. Potem można już było otworzyć pieczęć tajemnicy. I Ficowski to zrobił...

Nie wiemy, jak się dowiedział o jej śmierci. Nie uczestniczył w pogrzebie<sup>3</sup>. W jego archiwum znajduje się kartka z trzema nekrologami Józefiny Szelińskiej – od rektora Uniwersytetu Gdańskiego, od pracowników biblioteki i od rodziny. Na jej grobie rzadko leżą kwiaty.

---

**3** Ficowski odnotował informację o jej śmierci pięć dni później, między zapiskami dotyczącymi codziennych spraw (poczta, spacer, atak astmy papierosowej).